

Wydawca: Jan Mnochy. Król. Huta, dnia 1 października 1928 r. Redaktor odpow.: Jan Szatka.

BARDZO WAŻNE!

DLA ABONENTÓW „OGNISKA DOMOWEGO"

ZABEZPIECZENIE OD WYPADKÓW

po 1. rocznym abonamencie

2000 zł. w razie śmiertelnego wypadku

2000 zł. w razie zupełnego inwalidztwa

do **600** zł. w razie częściowego inwalidztwa

Ślubna żona abonenta jest na tych samych warunkach **zabezpieczona.**

ZABEZPIECZENIE W RAZIE ŚMIERCI WYNOSI:

300 zł. po mężu, 200 zł. po żonie.

60 zł. (30 dni à 2=60 zł.) wsparcia w chorobach, wynikających z nieszczęśliwego wypadku, po półrocznym abonamencie.

BEZPŁATNA PORADA i wygotowanie wniosków do wszelkich urzędów władz i t. d.

Cena pojedyńczego numeru 50 groszy. Wychodzi 1 i 15 w miesiącu.

W BIURZE LUDOWEM

w Król. Hucie przy ul. Wolności 11

opracowuje się sprawy sądowe, rentowe, mieszkaniowe i wszelkie inne Administracyjne. Pisze się wnioski i podania do wszelkich władz we wszelkich sprawach i okolicznościach na maszynach. Tłomaczy się wszelkie pisma polsko-niemieckie.



Dla Abonentów „Ogniska Domowego" uskutecznia się wszelkie powyżej wymienione sprawy bezpłatnie.

Jan Szatka, **pisarz ludowy.**

NVMER 1 DWVTYGODNIK ROK 1.

OGNISKO DOMOWE

„GENIVSZ"

Wydawca: Jan Mnochy. Król. Huta, dnia 1 października 1928 r. Redaktor odpow.: Jan Szatka.



Do Czytelników!

Niech żywi nie tracą nadziei!
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.
(J. Słowacki.)

Idąc za wskazaniem powyższem naszego wieszcza, podejmujemy z powrotem trud, sięgający początkami września 1924 r. Idziemy śmiało naprzód ku lepszej przyszłości.

Naszem dążeniem, — naszą myślą przewodnią będzie podniesienie poziomu umysłowego ogółu Czytelników, — wyrobienie obywatela o silnym charakterze, tak pod względem narodowym jak i moralnym. W naszych poczynaniach kierować się będziemy szczerością, życzliwością i bezstronnością, mając zawsze na względzie dobro etyczne i materjalne naszych Czytelników.

„Ognisko Domowe", idąc z duchem czasu, uwzględniać będzie wszystkie dziedziny życia społecznego, — wykluczając z ram swych jedynie politykę. Na łamach „Ogniska Domowego" znajdzie Czytelnik wiadomości z każdej gałęzi wiedzy, ujęte w prostych słowach, dla każdego zrozumiałych.

Czytelnicy nasi, a zwłaszcza Rodacy z Województwa Śląskiego, znajdą w „Ognisku Domowem" wskazówki i prawidła wymowy i pisowni polskiej, ujęte w praktyczny sposób. Co do samej gwary górnośląskiej, będziemy praktycznym sposobem wykazywali błędy wymowy, a niewłaściwe wyrazy, powszechnie używane, zastępowali rdzennie polskiemi.

Ponieważ „Ognisko Domowe" ma służyć wszystkim, będzie też redagowane w języku popularnym, dla wszystkich przystępnym i zrozumiałym.

„Ognisko Domowe", poza wiadomościami z dziedziny kultury i wiedzy, będzie posiadało działy traktujące o wydarzeniach w Polsce i na szerokim świecie — rzeczy ciekawe — rady i wskazówki praktyczne, w gospodarstwie i życiu codziennem i wiele innych działów.

Prócz tego „Ognisko Domowe" będzie drukowało stale nowele i ciekawe powieści.

W „Ognisku Domowem" znajdzie Czytelnik coś z humoru i satyry — a także dział rozrywek umysłowych jak: zagadki, rebusy, łamigłówki, za rozwiązanie których będą wyznaczone nagrody.

Pozatem przy „Ognisku Domowem" znajduje się **biuro ludowe**, które udziela wszelkiej porady, pisze podania, prośby, załatwia rekursy i inne pisma w języku polskim a także i niemieckim.

„Ognisko Domowe“ załatwia te sprawy dla swoich abonentów bezinteresownie.

„Ognisko Domowe“ ze względu na swój praktyczny charakter, powinno się znaleść w każdym domu. Będzie ono pożytecznem dla robotnika, rolnika, rzemieślnika i dla kupca.

W końcu „Ognisko Domowe“ wprowadza ubezpieczenie od wypadków, dlatego też powinno się znaleść w każdym domu.

Miesięczny abonament wynosi 4 zł. miesięcznie. Za te 4 zł. prenumerator prócz korzyści kulturalnych otrzymuje bezinteresownie za okazaniem kwitu abonamentowego poradę we wszelkich sprawach wynikających ze stosunku z wszelkiemi władzami, — tłumaczenia z języka polskiego na niemiecki i odwrotnie **a wreszcie pomoc materjalną na wypadek nieszczęścia w postaci ubezpieczenia od wypadków.**

Redakcja, Administracja i Biuro Ludowe mieści się w Królewskiej Hucie przy ulicy Wolności 11 — II piętro.

W Imię Boże przychodzimy do Was Czytelnicy z tem pismem w tej nadzieji, że przyjmiecie je życzliwie i poprzecie całą siłą.

Redakcja i Administracja.

Tam ma Ojczyzna...

Tam ma Ojczyzna, gdzie lasy szumiące
I gdzie strumyki spadają z gór,
Gdzie pszenne niwy i łąki kwitnące
I gdzie rozbrzmiewa wdzięczny ptasząt chór.

Tam ma Ojczyzna, gdzie wiosną bociany
Lecą z powrotem do swych starych gniazd,
A wiejskich chatek pobielane ściany,
Niebo utkane miljardami gwiazd.

Tam ma Ojczyzna, gdzie słowika tony
W majowy wieczór płyną z głębi bzu,
Gdyby wód fale zielone zagony
Kołysze wietrzyk błękitnego lnu.

Tam ma Ojczyzna, gdzie rzek barwne wstęgi,
Tocząc swe wody, śpieszą ciągle w dal —
Ruiny zamków, tej dawnej potęgi,
Co tak wzbudzają dzisiaj w sercu żal.

Tam ma Ojczyzna, gdzie obfite rosy —
Jak djamenty, upiększają kwiaty,
Gdzie w słońcu zdala połyskują kłosy,
Skoszonej trawy płyną aromaty.

Tam ma Ojczyzna, gdzie u dróg rozstaju
Stary krzyż Pański wyciągnął ramiona,
Wiankami kwiatów przystrojona w maju
Głowa Chrystusa, ku ziemi schylona.

Tam ma Ojczyzna, gdzie przy powitaniu
Mówią: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“,
Gdzie uczą dzieci w młodości zaraniu
Miłować Boga i rodzinne strony.

Ewa N.

O świętość rodzinnego gniazda.

„Domku mój miły! Widok mię twój krzepi:
Wszędzie mi dobrze, a w tobie najlepiej!“

Tak pisał kiedyś sympatyczny Ignacy Chodźko w swoich „Obrazach litewskich“, wolnych od wszelkiej goryczy i zwątpienia, a pełnych miłości Ojczyzny i uwielbienia przeszłości.

O! jakże inaczej my się dziś wyrażamy o tym domku własnym, o rodzinnem gnieździe, o Polsce, którą tworzy każdy z nas z osobna i wszyscy razem.

Prawie 125 lat leżała Polska, zamknięta żywcem w zimnym grobie. W tym długim szeregu smutnych lat zrywały się pokolenia ciągle do walki o wolność i padały na ziemię pokotem, jako to zboże ścięte na łanie, zwiększając z dniem każdym tę już i tak przedługą litanję mąk i cierpień za Ojczyznę. I ciągle szli ojcowie i bracia nasi za tą gwiazdą przewodnią, co im wolność wskazywała, szli i nie wracali...

I stała się Polska — jak powiada wieszcz Krasiński — ziemią mogił i krzyżów, przepojona w każdej grudzie krwią męczeńską. Aż nadszedł rok 1918, rok niezapomniany przenigdy w życiu narodu. Polska powstała, a stary Zygmunt na Wawelu ogłosił wolność wszystkim ludom i stanom, mieszkającym w Polsce. Już dziesiąty rok się kończy, jak Polska wkroczyła na tory niepodległego bytu i jak pomimo zakusów wrogów zewnętrznych i wewnętrznych żyje, rośnie i umacnia się, a to dzięki przedewszystkiem patrjotycznej i zdrowej armji, która stoi na straży poszanowania praw naszych przez wszystkich i tym nielicznym jednostkom, które całe jestestwo swoje poświęciły ugruntowaniu i zremontowaniu gmachu ojczystego. I to są właściwie ci ludzie, na których dziś w Polsce rzuca się kamieniem. Lecz ich to już nie dziwi i nie gniewa. Stare arabskie przysłowie powiada, że kamieniem rzucają tylko na drzewo, które rodzi owoce.

Większość jednak społeczeństwa jest obojętną i karygodnie bierną przy pracy około utrwalania bytu ojczystego, a co gorsze jeszcze, przeszkadza tej pracy, ma ciągle wiele do mówienia i krytykowania, wiecznie ma tylko żądania urojone, niebosiężne aspiracje, a obowiązków żadnych nie chce wziąć na siebie. A przyznać musi każdy normalnie myślący człowiek, że ta-

kiemi torami nic w świecie nie idzie. Wpierw bowiem musi rolnik ziemię zaorać i zasiać i obrobić należycie, a potem może i ma prawo żądania od niej plonu. Wpierw idzie praca, a następnie dopiero zapłata, a nigdy inaczej.

Skarżymy się na twarde czasy, na drożyznę, na rozbestwionych ludzi, narzekamy aż do obrzydzenia, a nikt się nie bierze do naprawy złego. Krytykujemy zawzięcie wszystko i wszędzie.

Śmiemy mówić głośno, że za czasów zaborczych lepiej było, wszystko było lepsze i mądrzejsze, a w tej Polsce — nie daj, Boże! — bałagan tylko, kiepska gospodarka i t. d., wszystko ciągle w czarnych kolorach, a dobrego nic niema. No, bardzo to problematycznej wartości „Polak", który ma czelność szkalować dom własny, własną Ojczyznę. Nie jest on godzien, by go karmiła polska ziemia i nosił imię polskie.

Zły-to ptak, który własne gniazdo kala.

A jeśli są niedomagania, to nie szukajmy ich przyczyn gdzieś w Warszawie lub w zaświatach. Tu winno nasze lenistwo i bezprzykładne wprost partaczenie codziennych obowiązków, brak punktualności i słowności, tych kardynalnych zasad każdego sumiennego pracownika. Winę tu ponosi brak w nas sumienia uczciwego człowieka i Polaka.

W rozmaitych komitetach i towarzystwach widzimy ciągle te same osoby. Jest ich kilka na całe miasto, na palcach dwuch rąk bez trudu ich policzymy. A reszta Polaków gnije i trupieszeje w bezczynności, uprawia knajpkową politykę, krytykuje na niezmierną skalę, narzeka i poniewiera świętość rodzinnego gniazda, obrzucając je niecnie błotem, i... czeka zmiłowania Bożego i pieczonych gołąbków.

Nie taką-to drogą chadzali i chadzają prawi obywatele polscy!

„Czcij ojca twego i matkę twoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi!" A przecie najlepsza matka z pośród wszystkich matek tego świata — to Ojczyzna, to gniazdo rodzinne, którego świętości naruszać ci nie wolno, a chronić powinieneś, by było czyste i bez skazy, jak przystało na wielką świętość.

Kajot.

ZOFJA DRWĘSKA DOERINGOWA.

Przypowiastka o matce.

U brzegów Wełtawy, w izdebce przewoźnika promu, leżał ciężko chory młodzieniec.

Ojciec, matka i dwie siostry strapieni i smutni, pielęgnowali go kolejno.

Był jedynym synem i jedynym bratem i kochanym bardzo.

Już od dwóch dni nie przemówił ani jednego wyrazu, miotając się w silnej gorączce.

Ojciec nie mógł dłużej patrzeć na cierpienia syna, wyszedł przeto z izby przed dom.

Patrzy — postać jakaś idzie mu naprzeciw.

— Kto jesteś? — pyta ojciec.

— Śmierć jestem, przyszłam zabrać z tego domu jedno życie.

— Więc weź moje, a poniechaj syna. Jam od najmłodszych lat kierował jego krokami. Był mi zawsze dobry, posłuszny, szlachetny. Weź lepiej moje życie.

Więc ujęła go śmierć za rękę i rzekła krótko.

— Chodź.

Idąc, ojciec smutne snuł myśli. Wszak jest jeszcze pełen zdrowia i sił — ma chyba prawa do życia jeszcze.

Rozejrzał się wkoło.

Tam, na wzgórku kościołek drewniany z wieżyczką strzelistą. Dalej Wełtawa, młyn u brzegu, prom drewniany. Nad wszystkiem niebo gwiaździste. Wszystko to tak dziwnie wrosło w jego serce.

Co począć?

A śmierć trzyma go mocno za rękę i wiedzie.

Co krok — to większa tęsknota woła w sercu ojcowskiem za życiem.

Oto chałupa, którą sam zbudował, tu czółno, co kołysało go po falach Wełtawy, nawet to ptaszę, co na gałęzi kwili — wszystko mówi mu o życiu, o życiu, którego się wyrzekł dobrowolnie, które za chwilę zamknie się przed nim na zawsze.

— Gotów jesteś? — Śmierć zapytuje.

— Nie, nie — nie mogę! — wyjąkał głosem złamanym.

I odwróciwszy się niepewnym krokiem, skierował się ku domowi.

Ale nie miał odwagi wejść do izby, gdzie cierpiał syn jego, poszedł więc do komory, a podparłszy głowę na ręku, głęboko się zadumał.

W sąsiedniej izbie przy chorym krzątały się dwie siostry i matka.

Po chwili młodsza siostra, chcąc się orzeźwić świeżem powietrzem, wyszła przed izbę.

Z lękiem ujrzała Śmierć przed sobą.

— Przyszłam wziąć jedno życie z waszego domu, — Śmierć jej rzecze.

— Więc uchroń brata mego — rozpacznie zawołała — a weź moje raczej! Zawsześmy razem dzielili figle i zabawy dziecięce, tyle dobroci i pamięci okazywał mi zawsze — oszczędź go — weź mnie lepiej!

— To chodź — rzekła Śmierć, ująwszy ją za rękę.

Zatrzęsło się dziewczę ze strachu, spojrzawszy w widmową, kościstą twarz Śmierci.

Odwróciła się. Patrzy — a wkoło tak cudnie gwiazdy mrugają na niebieskim firmamencie, tak cudnie jak nigdy.

Tam w oddali szumi Wełtawa. Na piaszczystym jej brzegu igrali wspólnie, będąc dziećmi. Życie poczęło jej się wydawać tak miłem i drogiem.

Odwaga opuściła ją nagle.

Wyrwała się raptownie i pędem pobiegła ku domowi.

Późno nocą wyszła przed izbę starsza siostra.

Ujrzała Śmierć przed sobą.

— Długo czekam — odezwała się Śmieć.

— Dobrze, pójdę z tobą — wyrzekła z powagą. — Silna jestem, uczynię to dla brata. Tyle wspólnych wspomnień łączy nas razem. Bawiliśmy się wspólnie, czytywaliśmy książki, był mi zawsze powiernikiem i bratem — pójdę.

Śmierć wyciągnęła ku niej obie ręce.

Idąc, poczęło dziewczę rozważać doniość swego postanowienia. Wszak to dopiero — a jej życie po-

trzebniejsze, niż innych — ma narzeczonego. Oto, z tego tu różowego krzaka urwała pierwszą różę dla niego w dowód miłowania, bo usta wyznać mu tego nie śmiały. Brat nie zaznał jeszcze w życiu tego wielkiego szczęścia Miłości, więc nic też nie traci.

Zawróciła więc bez słowa w stronę domostwa, unosząc cenny skarb życia swego napowrót.

— Bardzo wczesnym rankiem, kiedy już świtać poczęło, wysunęła się na próg izby znużona czuwaniem matka, by odetchnąć ranną rosą.

Przez wielkie łzy ciągle przysłaniające jej oczy, nie spostrzegła na razie, że ma Śmierć przed sobą.

— Ach! — wykrzyknęła — tyś przyszła po niego?!

— Przyszłam wziąć jedno życie z tego domostwa.

— No to weź moje — rzekła radośnie matka i wyciągnąwszy obie ręce do Śmierci, rzekła z uśmiechem:

— Gotowam...

— Pozwolisz mi jeszcze tylko — wyrzekła po chwili — wykończyć me obowiązki?

— Dobrze, poczekam na ciebie.

Nieledwie z radością powróciła matka do izby. Zakrzątnęła się żywo tu i tam, czy wszystko w porządku, a potem wziąwszy klucze, przeszła do izby syna.

Długo, długo wpatrywała się rzewnym, pełnym miłości i boleści matczynej wzrokiem w swe dziecko. Wspomniała, gdy był jeszcze maleńkim, jak zaczął stawiać pierwsze kroki, pierwsze wyrazy wymawiać — i uśmiech pełen szczęśliwości okrasił jej lica.

Potem wyszła z izby.

Kwiecie poczęło już podnosić swoje główki. Ranny wiaterek trzpiotowato igrał z jej włosami.

Rozejrzała się wkoło po dobytku swoim. Myślą skierowała ku córkom i mężowi, jak to teraz oni obejmą pieczę wkoło tego wszystkiego. I patrzęć tylko, jak wiosna wnet przyjdzie i pracy przysporzy...

— Ale gdzież Śmierć? — przypomniała sobie nagle.

Nie dostrzegła jej nigdzie. Aha, tam na ścieżce jednak się ktoś przechadza.

— Już jestem gotowa — mówi matka, ręce wyciągając do widma.

A postać owa ujęła miękko jej dłonie w obie swoje ręce i mówiła głosem łagodnym.

— Już moja siostra — Śmierć odeszła.

— A ty kto jesteś? — zapytała matka.

— Ja jestem — Życie.

Pełna niewypowiedzianego szczęścia wpadła matka napowrót do izby.

W drzwiach ojciec ostrzegł ją radośnie:

— Cicho, cicho, właśnie co tylko zdrzemnął się na chwilę. Chwała Bogu, ozdrowiał, przemówił już słów kilka!

Rady i wskazówki praktyczne.

Pożywność kapusty. Ostatnie badania naukowe profesora Hartmana wykazały, że kapusta kwaszona posiada najwięcej substancji odżywczych ze wszystkich jarzyn. Najwięcej pożytku dla organizmu ludzkiego daje kapusta kwaszona, spożywana na surowo. Pozatem kapusta kwaszona zawiera bakcyle kwasu mlecznego, działające zabójczo na bakterje szkodliwe, rozwijające się w kiszkach.

Zatem jedzmy dużo kapusty kwaszonej i surowej!

Przechowywanie owoców w zimie. Zerwane owoce, jabłka i gruszki, rozkłada się w szopie na dwa dni, aby się wypociły czyli straciły część wody. Potem składa się owoc w piwnicy na półkach, pokrytych suszoną w suszarni słomą. Owoce powinno się układać tak jak rosną, t. j. ogonkami do góry, w maleńkich odstępach, aby jeden drugiego nie dotykał. W czasie mrozów piwnicę ogrzać chociażby tylko za pomocą węgli rozżarzonych, umieszczonych w żelaznym garnku. Przeglądać owoce często, nadpsute wybierać.

Rzeczy ciekawe.

Odzyskanie pamiątki.

Przybył ostatni transport pamiątek naszych, zrabowanych ongiś przez carów rosyjskich, a zwróconych nam przez Bolszewików. Najcenniejszemi są: prawdziwy miecz koronacyjny królów polskich czyli szczerbiec chorągiew królewska Zygmunta Augusta, miecz ofiarowany przez papieża Sobieskiemu, po zwycięstwie wiedeńskim, 50 sztandarów wojskowych z XVI i XVII wieku i 24 armat starożytnych.

Odkrycie przedhistorycznego cmentarzyska na Górnym Śląsku.

We wsi Piasek, pow. Lublinieckiego, odkryto grobowce, pochodzące z czasów na 1000 lat przed Narodzeniem Chrystusa. W grobowcach tych znaleziono wiele wartościowych dla nauki rzeczy, które przekazano do Muzeum Śląskiego w Katowicach.

HUMOR i SATYRA.

Bankier i pies.

— Nie bój się pan, panie bankierze, tego psa, on szczeka, ale nie ukąsi...

— Ja się jego nie potrzebuję bać! Tylko on szczeka fałszywie, a ja jestem bardzo muzykalny.

Egzamin na maszynistę kolejowego.

Egzaminujący: Co to będzie znaczyło, jak pan zobaczysz czerwoną latarkę?

Egzaminowany: To znaczy, że w bliskości jest szynk lub gospoda.



ZBLIZKA i ZDALEKA



ZE STOLICY KRESÓW WSCHODNICH



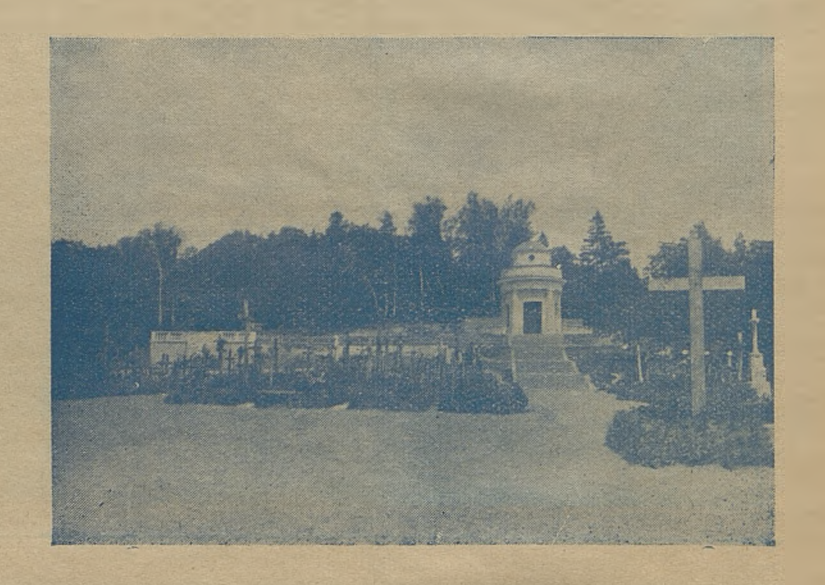
Lwów: Plac Bernardyński wraz z kościołem OO. Bernardynów



Lwów: Ulica Legjonów, Wały Hetmańskie, w głębi gmach Teatru Wielkiego.



Lwów: Kopiec Unji Lubelskiej, obok ruiny zamku obronnego, wybudowanego przez Kazimierza W.



Lwów: Cmentarz Obrońców Lwowa z Kaplicą Orląt.



Lwów: Rynek lwowski z kamienicą królewską.

Lwów: Kościół im. św. Elżbiety.



Lwów: Pomnik Orląt
Obrońców Lwowa.

Lwów: Bazylika archikatedralna.



Lekcja gramatyki.

— Icek Kugelman, powidz mi, co to znaczy wyraz hańba?

— Hańba... to jest... naprzykład... wziąszcz kase swoje pryncypał i...

— No co więcej...

— I coby w drodze do Ameryki złapili.

Syn leśniczego.

— Cóżeś taki wystraszony, Jasiu?

— Bo mi ksiądz powiedział: Z prochu powstałeś..."

— No, więc cóż?

— No, więc boję się, żebym nie wystrzelił.

KU ROZRYWCE

W dziale tym zamieszczać będziemy zagadki, szarady, łamigłówki, rebusy i t. p. Za dobre rozwiązania, nadesłane do redakcji, wyznaczamy dwie nagrody miesięcznie w postaci książek do czytania. Za każde rozwiązanie liczymy jeden punkt. Kto uzyska najwięcej punktów, ten otrzyma nagrodę. Rozwiązania należy wysyłać w listach z nalepioną marką pocztową lub na pocztówkach. Listów bez znaczka pocztowego przyjmować nie będziemy.

SZARADY-ZAGADKI

I.

DWUZNACZNIKI.

1) Kowal Kasię bije.
2) Od kapeluszy nieraz bolą i głowy.
3) Kupcie laku i papieru.
4) Zapałka się złamie.
5) Kopyta liczy a leży, to niedobrze wygląda.

W powyższych zdaniach tak rozłożyć sylaby, aby utworzyły nowe zdanie o innem znaczeniu.

II.

ZAGADKI.

1.

Szumią racławickie pola
Echem czynu krakowskiego,
Szczezła wiekowa niewola —
Wstaje dumna czynu wola
I wspomina imię Jego!
Imię, co — jak chrzęst pałasza —
W piersi naszej lśni i dzwoni,
W którem legła siła nasza,
Co od zwątpień duszę chroni
I lechickich strzeże błoni.

2.

Hej! Kallenberska ty wyżyno!
Jasny cud Polski tyś widziała!
Wody Dunaju, co wciąż płyną,
Mówią o królu, co zasłynął,
Tak że całego globu chwała
W hołdzie do stóp mu się słała!

Odgadnąć, o kim mówią te zagadki.

III.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ko — ba — re — ty — pal — ja — w — no — k — re — ma — w — t.

Z powyższych sylab i liter ułożyć pięć wyrazów, których środkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwę sławnego zamku w Polsce.

Znaczenie wyrazów:

1) Nazwa stolicy państwa, żyjącego w niezgodzie z Polską.
2) Przyrząd do popędu konia.
3) Inaczej przegląd wojska.
4) Czarne zwierzątka, czyniące szkody w ogrodach warzywnych.
5) Rzecz tradycyjna, którą święcimy w jedną z niedziel wielkiego postu.

UWAGA: Rozwiązania nadsyłać najpóźniej do 10 i 20 każdego miesiąca.

TARYFA INSERATOWA.

Strona tytułowa	100 zł.
Okładka	100 „
Strona dodatkowa wykonanie specjalne	130 „
1/1 strona	100 „
1/2 strony	50 „
1/4 strony	25 „
1/8 strony	13 „
1/16 strony	7 „
1/32 strony	4 „
Abonament miesięczny	4 „

Przy kilkuraz. zamówieniach odpowiedni rabat.


OGNISKO DOMOWE
DEUTSCHE BEILAGE

An unsere werten Abonnenten.

Die Gegenwärtige Lage wodurch alle Schichten der Bevölkerung aufs schwerste betroffen werden, legt jedem Familienvater und Ernährer seiner Angehörigen, mehr dem je die Verpflichtung auf, die Existens derselben sicherzustellen. Ins besondere bei uns im Industriebezirk, wo der grösste Teil der männlichen. Bevölkerung ihren Erwerb, bei der Industrie hat und dort täglich tausenderlei Gefahren ausgesetzt ist, verdient eine praktische Lösung der Existenzfrage und Sicherstellung der Angehörigen ganz besondere Beachtung und musste letztere edelste Pflicht eines jeden Ernährers sein

Diese grosse Aufgabe zu lösen, erfordert aber anderseits vollkommene Kenntnis der Verhältnisse sowie der Wirtschaftslage. Nicht zuletzt werden dem Arbeiter seitens der Arbeitgeberverbände und sonstigen Organisationen bei Verwirklichung obiger Fragen ungeahnte Schwierigkeiten in den Weg gelegt, was zur Folge hat, dass die Rechte der Arbeitnehmer teils geschmälert und teils überhaupt nicht anerkannt werden.

Dwutygodnik »Ognisko Domowe« ist eine unparteiische Zeitschrift, welche jedem einzelnen grossen Vorteil bietet, sowohl in Hinsicht leichter Lektüre der Wisseschsft, Kultur und Literatur wie auch für seine ständigen Abonnenten einen kostenlosen Ratgeber in wirtschaftlichen und allgemeinen Angelegenheiten vorstellt.

Zu diesen Zwecken wird in unserer Redaktion ein Volksbüro errichtet, dessen Aufgabe es sein wird, allen Abonnenten, die sich mit dem Quittungsschein ausweisen können, unentgeldlich Bittgesuche, Rekurse Beschwerden, Zahlungsbefehle u. s. w. u. s. w. zu schreiben, für welche Leistungen Berufsschreiber hohe Summen fordern.

Heute steht sowohl der Arbeiter, Hausbesitzer, wie auch der Kaufmann in enger Beziehung zu den diversen Ämtern und Behörden und darum wird unser Volksbüro alle einschlägigen Übersetzungen in der polnischen auf die deutsche Sprache und umgekehrt, durchführen und auf diese Weise den oberschlesischen Bürgern die Sprachschwierigkeit bekämpfen helfen. Dies alles haben unsere ständigen Abonnenten unentgeltlich zu fordern. Nähere Informationen in obiger Sache erteilen noch unsere Agenten beim Aufnehmen von Abonnenten.

Unser Büro wird in Oberschlesien als einziges bestehen und wäre es angezeigt, dass jeder die sich darbietende Gelegenheit ausnützt und den Dwutygodnik »Ognisko Domowe« schleunigst abonniert, wo er aussser angenehmer stilistischer Lektüre, fesselnde Erzählungen und Novellen, praktische Winke in deutscher und polnischer Sprache findet. Der Abonnent dieser Zeitschrift geniesst nicht nur moralischen Nutzen, auch Vorteile.

Monats-Abonement beträgt 4 zł. Redaktion, Administration und Volksbüro befindet sich in **Król. Huta, ul. Wolności 11 II.**

Die Redaktion.

Die guten Väter.

Humoreske von Fritz Georg Dietrich.

Wird von Nachbarskindern, die sich innig lieben, in einer Erzählung berichtet, so sind deren Väter meist erbitterte Feinde, die einer Verbindung der Liebenden die unüberwindlichsten Hindernisse in den Weg zu legen pflegen. Es ist dann sehr rührend zu lesen, wie sich schliesslich die jungen Herzen dennoch ihr Glück zu erkämpfen wissen.

Eines solchen Kampfes bedürfte es jedoch bei Liesel und Erich durchaus nicht, den beide Väter waren nicht nur gute Nachbarn, sondern auch seit ihrer Jugend unzertrennliche Freunde, die von jeher in ihren Kindern ein künftiges Paar gesehen hatten. Da beide Freunde aber Witwer waren, jeder die jungen Eheleute in sein Haus einquartieren wollte, es aber nicht übers Herz brachte, den anderen dadurch der Vereinsammung auszusetzen, so fand Herr Strobel und Herr Heldig aus lauter väterlicher und Freundesliebe immer wieder einen Vorwand, den Termin der Hochzeit hinauszuschieben. Verbot doch die Wohnungsnot eine behagliche Nestgründung in einem anderen Hause.

Erich und Liesel waren daher unermüdlich, Pläne zu schmieden, die ihre endliche Verbindung ermöglichen sollten. Und da heiratslustige Jungfrauen in dieser Hinsicht gewöhnlich pfiffiger veranlagt sind als ebensolche Burschen, war es Liesel, die in einer erleuchteten Stunde des Ausweg fand. „Erich", verkündete sie eines Morgens resolut, „es gibt nur eins. Wir müssen unsere Väter verheiraten, sonst einigen sie sich nie. Denn mein Vater ist ja verliebter in dich wie du in mich."

„Nicht toller, Liesel, als meiner in dich."

„Ach, leider. Wir müssen also einen Ableiter haben! Für meinen Vater weiss ich eine Partie, die ihm sicher gefallen wird. Schaffe du nun eine für den deinen."

„Mädel! Die Idee ist göttlich! Aber, wo in der Eile eine Frau für meinen Herrn Erzeuger hernehmen? Er wird bestimmt nicht wieder heiraten wollen, und ich kann ihn doch nicht meuchlings zum Altar schleppen. Es ist schrecklich, was für Sorgen die Väter ihren Kindern machen!"

. . . Tage heftigen Nachdenkens verstrichen. Eines Abends aber jubelte Erich der Herzallerliebsten erregt zu, dass er für seinen Vater eine wie für diesen geschaffene Braut gefunden habe. „Wir schlagen dabei zwei Fliegen mit einer Klappe, denn wenn er die für ihn Ausgesuchte ehelicht, wird deren schmuckes Haus frei, und heidi, wir rutschen hinein! Nun rate, wer ist die Braut? . . . Kriegst du nicht heraus. Niemand anders, als die ehrsame, gemütliche, mollige Frau Meta verwitwete Lehnert!"

„Aber um alles in der Welt!" schrie Liesel auf, „die habe ich doch für meinen Vater ausgesucht! Er hat sich schon halb einverstanden erklärt!"

„Das ist ja entsetzlich, Schatz. Meiner nämlich auch. Nur die Bedingung hat er gestellt, dass dein Vater noch nichts davon erfahren dürfte. Es soll eine Ueberraschung für ihn werden."

Liesel rang die Hände. „Genau die Worte meines Vaters. Ach, Erich, meine künftige Mutter kann doch nicht meine Schwiegermutter werden! Unsere Väter werden sich darüber entzweien. Ihre alte Freundschaft geht in die Brüche, man wird unseren Herzensbund zerreissen!"

„So grausam kann das Schicksal nicht sein! Aber es herauszufordern, wäre verwegen. Wir müssen den Heiratslustigen die Partie wieder ausreden, und zwar gleich, ehe es zur Katastrophe kommt!" . . .

Das Verhängnis wollte es jedoch anders. Mit bedeutungsvollen Mienen schrecken die Herren Väter jede Unterredung von sich ab, als sie am nächsten Morgen sich geheimnisvoll zum Werbegang ankleideten.

Mit dem gleichen Glockenschlag verliess Herr Willibald Helbig wie Herr Bernhard Strobel das Haus, und nach freundlichem, etwas verlegenem Gruss selbander fürbass zu schreiten. Keiner wollte dem anderen das Ziel seines Ausgangs verraten. Die Ueberraschung des Freundes sollte eine vollkommene sein. Darum trennte man sich am Kirchplatz, um scheinbar harmlos nach verschiedenen Seiten auseinanderzugehen. Kaum aber durch die nächste Hausecke gedeckt, eile jeder spornstreichs dem Gartenhaus der Begehrten zu.

Bernhard Strobel erfreute sich eines Paares sehr lang geratener Beine und traf demzufolge einige Minuten früher als der kurzgestielte Helbig bei dem Gegenstande seiner Sehnsucht ein. Er befand sich bereits mitten in seiner wohlgesetzen Vorrede, als zu seinem Erstaunen das Hausmädchen den Besuch des Herrn Helbig meldete.

So gern sich die Freunde sonst an jedem Orte und zu jeder Zeit sahen, so verdross es ihn doch, sich durch Helbigs Eintritt um den Effekt seiner geplanten Ueberraschung bringen zu lassen. Schien es ihm doch seit einigen Augenblicken allen Ernstes, als schlüge sein Herz längst für die milde, sanftgerundete Meta, die so freundlich seinen Ergüssen lauschte. Und in einem so verheissungsvollen Augenblick sollte er sich aus dem Konzept seiner gefühlvollen Ansprache reissen lassen?

Ohne sich im Zuge seiner glühenden Worte zu unterbrechen, sprang er daher an die Tür und hielt erregt deren Messingklinge fest, um ein Eindringen unmöglich zu machen. Aber Eile war geboten; so verzichtete er kühn auf weitschweifige Erörterungen und schleuderte der Erkorenen todesmutig die Erklärung zu, dass er ohne sie künftig nicht mehr zu leben vermochte.

Und auch Frau Meta Lehnert kam es plötzlich vor, als habe sie während ihres ganzen Lebens für Herrn Strobel ein Plätzchen in ihrem Herzen reserviert. Mit züchtigem Backfischlächeln erbat sie nur des Anstands halber eine kurze Bedenkzeit, an deren Ergebnis jedoch nach ihren strahlenden Mienen nicht zu zweifeln war.

„Herr Strobel," hauchte Meta errötend. „Sie werden begreifen, Ihr ehrender Antrag kommt mir so überraschend, obwohl, ich gestehe es ohne Scheu, auch meinerseits längst eine Neigung — doch, nein, ich will Sie nicht eitel machen."

Jetzt war Bernhard felsenfest davon überzeugt, dass er Meta schon seit Jahren aus der Ferne anbete, allerdings ohne dass es ihm recht zum Bewusstsein gekommen sei. Er wäre ihr gern zu Füssen gefallen, wenn er dabei nicht hätte die Türklinke freigeben müssen.

Doch Frau Lehnert verstand ihn auch so. „Gönnen Sie mir, mich etwas zu sammeln. Auch möchte ich meine Schwester Klotilde vorbereiten, die zum Besuch bei mir weilt.', Wie eine — freilich recht wohlgenährte — Libelle entschwebte sie nach dem Nebenzimmer.

Bernhard vermochte dem Drange seines durchgehenden Herzens nicht zu widerstehen. Die Glut eines Romeo loderte unter seiner weissbaumwollenen Weste, und mit kühnen Hechtsprung schnellte er der Geliebten nach.

Die Verzögerung des Empfanges war Herrn Willibald Helbig durchaus nicht unwillkommen gewesen. Konnte er sich doch dadurch seine Werberede noch einmal im Gedächtnis abhören. Seltsam, dass ihm jetzt manche Stelle des Textes plötzlich so überschwänglich und unwahr vorkam. Nachdenklich ging er mit sich zu Rate: „Die Sachlage ist doch einfach die, den Kindern zuliebe bin ich entschlossen, Frau Lehnert zu heiraten. Sie missfällt mir keineswegs, wenngleich ich auf eine Anzahl ihrer Lenze und Kilogramm nicht ungern verzichten würde. Immerhin, an der Notwendigkeit, mich, zu verheiraten, ist nicht zu rütteln. Es gilt Liesels Glück!"

Das Hausmädchen geleitete ihn in das Besuchszimmer. „Frau Lehnert lässt Herrn Helbig bitten, sich ein wenig zu gedulden".

„Galgenfrist!" durchfuhr es Willibald, aber ein Zurück gab es nunmehr für einen opfermutigen Vater und Schwiegervater nicht.

Er war allein. Als erwäge er noch eine letzte Fluchtmöglichkeit, liess er seufzend die Augen aus dem Fenster schweifen. Vergebens suchte er sich zu verhehlen, dass der Gedanke an Metas Vollgestalt ihm Sorge einflösste.

Plötzlich jedoch begann er energisch seine Brille zu putzen. Was war das? Da am Rosenbusch Meta!... Doch was für eine Meta? Durfte er seinen Augen trauen? Allerdings hatte er die Witwe wohl fast ein Jahr lang nicht gesehen, aber, dass sich ein Weib in dieser kurzen Zeitspanne derart verjüngen und verschönern könnte, war unfasslich!

„Und solch ein Prachtweib," eiferte er gegen sich, „wollte ich Narr knapper belenzt und leichtgewichtiger haben? Nicht einen Monat, nicht ein Pfund von ihr gebe ich her!" Er verzieh es sich nicht, eben noch unsinnigen Bedenken Raum gegeben zu haben. „Ich wollte mir einreden, ein Opfer zu bringen, ich, der ich sie liebe, immer geliebt habe! Sie wird, sie darf nicht nein sagen; Oh, wie wird sich Bernhard über meine Wahl freuen!"

Da trat sie auch schon durch die Tür.

Willibald war hingerissen. Wie ein Feuerwerk prasselte seine Rede hervor: „Hochverehrteste! Seit Jahren ist es mein unausgesprochener heissester und innigster Wunsch, der sich aber heute mit elementarer Gewalt Bahn bricht..."

„Herr Helbig, Sie erschrecken mich!"

Oh, diese melodische Stimme, Willibalds Lippen sprühten alle die feurigen Redewendungen unaufhaltsam hervor.

„Verzeihung, Herr Helbig, ich kenne Sie als redlichen Mann, aber..."

Willibald fasste ihre Hand. „Wozu lange Worte?" Er gab seinem Mut innerlich einen Sporn: „Machen Sie mich unendlich glücklich — oder stossen Sie mich in die Verzweiflung!" Hoppla, das war für einen wohlhabenden Hausbesitzer anfangs der Fünfziger doch etwas zu theatralisch geraten. Er fuhr daher einlenkend fort: „Das erste wäre mir natürlich lieber. Ich bin kein Jüngling mehr, aber was ich in die Wagschale zu werfen habe... Wie gesagt Wagschale... hm, ja... ich habe etwas hineinzuwerfen... und ich werfe gern, sehr gern..." Sapperment, er hatte den Faden verloren.

Mit schämigem Erröten entzog sie ihm ihre Rechte, die unter seinem beständigen Drücken zu schwellen begann und schütze sie unter dem Rosenstrauss. „Welche Wagschale meinen Sie, Herr Helbig?"

„Nun denn — werden Sie mein angebetetes, vergöttertes Weib!"

„Oh, nicht so orkanhaft, liebster Herr Helbig! Sie verwirren mich. Lassen Sie nicht die Leidenschaft über uns siegen, sondern vorerst unsere Gefühle ernster Prüfung unterziehen."

„Es sei!" jubelte er. „Und ich weiss, Sie werden mich nicht verwerfen, meine gütige, geliebte Meta!" Heldenhaft drückte er einen Kuss durch die Dornen der Rosen auf ihre Hand.

„Sie versprachen sich," lächelte sie verzeihend. „Nicht Meta, sondern Klotilde... Meta ist doch der Name meiner Schwester".

Willibalds Kopf schnellte empor, doch sofort hatte er sich in der Gewalt. „Habe ich Meta gesagt? Selbstverständlich sollte es Klotilde heissen! Nur Klotilde, immer Klotilde. Es gibt keinen anderen Frauennamen mehr für mich! Nur weil ich die Bitte anschliessen wollte, Meta sogleich unser Glück verkünden zu dürfen, verwechselte meine wonneberauschte Zunge die Laute."

Die bräutlich durchrieselte Klotilde war bereit, alles begreiflich zu finden.

Noch schneller begriff die eben hinzukommende, frischverlobte Meta, am schnellsten begriff aber der ihr folgende Bräutigam Strobel. Etwas wie Mitleid beschlich ihn, dass Willibald sich mit der Schwester begnügen musste, während er selbst in Meta das grosse Los gezogen habe. Ganz ähnlich, nur umgedreht, dachte Helbig von dem bedauernswerten Freunde.

Auf dem Heimwege der beiden Opfermutigen überzeugten sie einander so beglückt, dass jeder eigentlich, wenn er recht bedenke, schon lange die Liebe zu der Erwählten im Herzen getragen, bis sich jeder schlisslich selbst glaubte . . .

. . . Der Doppelverlobung folgte bald die dreifache Hochzeit, und keins der Ehepaare hat diese Stunde je bereut.

Ja, ja, wenn heutzutage die gescheiten Kinder nicht das Schicksal der Väter in die Hand zu nehmen verstünden!

VON ERNST GAHLIS.

Was bist du?

Tausend Menschen habe ich gefragt, und tausend Erklärungen wurden mir gegeben.

Wenn man ihnen sagt, der Mensch ist die Krone der Schöpfung, dann sind sie stolz; sie recken sich und glauben es gern. Wenn man ihnen aber sagt, der Mensch ist ein kleines unbedeutendes Geschöpf im Weltall, dann ducken sie sich und blicken beleidigt und voll Feindschaft. Im Innersten fühlen sie wohl, dass der Ausspruch recht haben könnte, aber sie wollen es nicht zugeben. Sie fliehen die Wahrheit!

Die Wahrheit zu fliehen, ist feige und sinnlos zugleich, denn man entrinnt ihr ja doch nicht. Man sollte sie daher nicht fliehen, sondern suchen.

Gestern sah ich nach langer, Zeit einen lieben Freund wieder, der im Ausland gewesen war. Ich lud ihn ein zu mir, heute sollte er mein Tischgast sein. Da wurde mir die Kunde von seinem plötzlichen Tode. Grippe. Es hätte ebensogut eine andere Seuche sein können: Cholera, Pest, Schwindsucht. Sie raffen dahin, was sich einbildet, die Krone der Schöpfung zu sein. Lebewesen, so winzig klein, dass ihrer Tausend auf einen Haufen dem menschlichen Auge kaum als Punkt erscheinen, können den Menschen töten, der sich so gross und stolz fühlt, der behauptet der Herr der Erde zu sein.

Gewiss, der Mensch kann einige Naturgewalten unter bestinnten Voraussetzungen zwingen, für ihn zu arbeiten. Er ist in diesem Sinne ihr Herr. Und doch! Ein Blitz, eine verdorbene Speise, ein kalter Luftzug, und er wird ausgelöscht.

Wie schwach ist doch das Geschöpf, dessen Sein oder Nichtsein von solchen Zufälligkeiten abhängt!

Wer liebt es nicht, in sternenklarer Nacht gen Himmel zu schauen? Wer aber denkt dabei an die Weiten des Weltalls? Jeder Stern ist ein Glutball wie unsere Sonne, aber weit, weit draussen im Weltall. Das Licht, das mit seiner rasenden Geschwindigkeit den Erdball in wenig mehr als einer Sekunde umkreist, legt den Weg von der Sonne zur Erde in wenigen Minuten zurück. Von den Sternen aber braucht es bei derselben Geschwindigkeit Jahre, Jahrhunderte, Jahrtausende. Ja das Licht der entferntesten Sterne, die wir wahrnehmen können, gelangt erst in vielen Hunderttausenden von Jahren, zur Erde. Als der Lichtstrahl, den unser Auge jetzt auffängt, jenen Stern verliess, da gab es auf der Erde vielleicht kaum die ersten Menschen. Solche Sterne sind viele Milliarden mal weiter entfernt von der Erde als die Sonne. Und doch, diese uns unfassbare Weite ist nur ein Teil, ein winziger Bruchteil der Ausdehnung des Weltraumes.

Was bedeutet für dieses Weltall die Erde? Ob die Erde zurückfällt in den Schoss der Sonne und in ihren Gluten zerschmilzt, ob sie erkaltet, zerbirst und sich in Milliarden Splitter auflöst: das Weltall besteht weiter, auch ohne die Erde. Die Welt braucht die Erde nicht!

Und was ist der Mensch auf dieser Erde? Es leben ihrer fast zwei Milliarden zu gleicher Zeit. Was ist da einer? Was bist da gerade du? Ob du lebst oder nicht lebst, die Erde besteht weiter, sie braucht dich nicht!

Und nun frage ich noch einmal: Was bist du? Die Menschen sind mit selbstgeschaffenen Wichtigkeiten meist so beschäftigt, dass sie gar keine Zeit haben, über ihre Bedeutung für die Welt und für die Erde nachzudenken. Sie leiden an einer masslosen Selbstüberschätzung. Und darum haben sie es nicht gern, wenn man fragt: Was bist du?

Eine Antwort wird der Mensch auf diese Frage niemals finden. Aber er sollte doch über sie nachdenken. Jeden Tag wieder neu. Dann wird er wenigtens einen Masstab finden für seinen eigenen Wert, für sein Tun und für die Dinge, die er so wichtig nimmt.

BLIND.

Roman nach fremden Motiven von ADOLF GLÖCKNER.

„So! Na das ist mindestens eine Unverfrorenheit!“

Hans Gross, offenes männliches Gesicht färbte ein dunkles Rot. „Aber, Herr Ellner!“ rief er, nur mühsam seine Erregung, unterdrückend. „Wieso ist das eine Unverfrorenheit, wenn ich bei dem Vater ehrlich um die Hand des von mir treu und aufrichtig geliebten Mädchens anhalte?“

„Nun, eigentlich ist es noch etwas Schlimmeres,‘, entgegnete Ellner schwer gereizt. „Vergessen Sie den ganz, wer Sie sind? Muss ich Sie daran erinnern, dass Sie weiter nicht als ein einfacher Gärtnergehilfe sind?“

„Nein, das weiss ich sehr wohl, aber ich gedenke eben nicht, zeitlebens ein Gärtnergehilfe zu bleiben.“

„Glaub ich schon, doch d. Posten, auf den Sie spekulieren, ist zur Zeit noch nicht frei, und selbst wenn der alte Westmann einmal stirbt, ist es noch höchst zweifelhaft, wer die Stelle erhält, ob Sie oder nicht viel mehr Daniel Born. Frau Mentner stellt vielleicht auch eine auswärtige Kraft an, was eigentlich das Allervernünftigste wäre.“

„Aber, Herr Ellner!...“

„Genung davon!“ stampfte dieser ungeduldig mit dem Fusse auf. „Ich weiss, was Sie sagen wollen. Gewiss ich selbst bin auch einmal Gärtnergehilfe gewesen; aber jetzt bin ich eben Inspektor auf Frau Mentners Besitzungen und ihr Stellvertreter — und mit einem Worte Ihr Vorgesetzter. Also keine Silbe mehr von der Sache, bitte ich mir aus!“

Im Begriff, sich abzuwenden und den jungen Mann einfach stehn zu lassen, wandte er sich noch einmal zurück. „Halt, — weiss meine Tochter um Ihre Absicht, mit mir zu sprechen?“

„Nein, Herr Ellner. Wenn ich auch nur ein einfacher Arbeiter bin, so weiss ich doch, was sich schickt,“ sagte Hans mit Würde.

„So ahnt sie also nichts von Ihrer Zuneigung zu ihr?“

Uber Hansens frisches Gesicht flog bei dieser Frage der helle Schein eines Glücksleuchtens, das seine markigen Züge verschönerte und veredelte. „Das glaube ich, hoffen zu dürfen,“ sagte er in einer freudigen Zuversicht, die durch des Alten Antwort indes zu Boden gedrückt wurde.

„Meine Tochter weiss, dass sie sich meinen Wünschen zu fügen hat,“ versetzte Ellner streng und bestimmt. „Und ich werde niemals in eine so aussichtslose Heirat willigen.“ Damit schloss der Alte die ihm im höchsten Grade unangenehmen Unterhaltung.

Mit schwerem Seufzer wandte sich der junge Mann ab und schlug die Richtung nach seiner Wohnung ein. Seine Gedanken stürmten und seine Schritte wurden immer schneller, er blickte nicht rechts noch links, bis er plötzlich auf halbem Wege stehen blieb.

„Nein, ich kann noch nicht nach Hause gehen,“ murmelte er vor sich hin. Ich bin zu erregt, vielleicht wird mir ein längerer Weg gut tun. Ich muss erst diese Beleidigung verwinden. Mir den nach seinen Begriffen z. bescheidenen Beruf eines Gärtnergehilfen vorzuwerfen! Unerhört! Und dann die Andeutung in Betreff Daniel Borns, — als ob das eben der Rechte für Marie wäre!“

Die Unterredung hatte beim Gewächshaus stattgefunden, nun wandte sich Hans, einen Seitenweg einschlagend, unwillkürlich jenem Teil des Parkes zu, in dem sich das staatliche Haus des Inspektor Ellners befand. Aber er hätte den Weg nicht gehen sollen; denn ein neuer Schmerz wartete hier seiner. Zwischen dem Gebüsch, das die hübsche Villa umgab, sah Hans zwei Gestalten, in denen er seine Marie und Daniel Born erkannte. Wie ein Schwertstich ging es ihm durchs Herz. „Ich bin ein Narr!“ flüsterte er leise vor sich hin. „Wie kann ich auf Erhörung rechnen gegenüber einen solchen Rivalen! Born ist ein schöner Mann, hat gewandte Manieren und ist auch, wie mir scheint, sehr erfahren in der Kunst ein Mädchenherz zu gewinnen...“

„Guten Abend, Herr Gross,“ unterbrach ihn eine zittrige Stimme in seinem Selbstgespräch. Vor ihm stand ein kleines, dürres Männchen dessen gutmütiges Gesicht mit tausend Runzeln und Flechten bedeckt war.

Es war der alte Brand, eine Art Faktotum, ein im Dients ergrauter Gartenarbeiter, den fast ausnahmslos jedermann gut mochte.

„Sollte man's für möglich halten,“ sagte er mit einer Kopfbewegung nach dem Inspektorhause hin, „macht dieser Daniel, der Windhund, der schönen Marie Ellner den Hof! Ich glaube wirklich, wenn der alte Westmann mal stirbt, gibts dort im Inspektorhause eine Hochzeit. Aber wissen Sie,“ fügte er leise in vertraulichem Ton hinzu, „wenn ich heute noch mal jung wäre, ich überliesse es Daniel nicht, die schöne Marie heimführen, die noch dazu das beste Mädchen im ganzen Lande ist.“

Ohne das sie sein kommen bemerkt hatten, stand der Erwähnte plötzlich vor den beiden.

Da sich der Alte schleunigst aus dem Staube machte, sah sich Hans zu seinem grossen Verdruss genötigt mit Daniel den Heimweg anzutreten.

Während er gesenkten Hauptes dahinschritt, merkte er nichts von dem hämischen Blick, mit dem Daniel ihn mass; aber der höhnische Ton, in dem dieser zu ihm sprach, entging ihm nicht, und liess ihn wenig Gutes hoffen.

„Hat Frau Mentner zu dir etwas von der alten Ceder gesagt?“ fragte Daniel nach einer Weile.

„Ja, sie sprach davon, dass dereine dürre Ast weg müsste.“

„Dann könntest Du immer schon die Leiter zurechtstellen und alles Nötige vorbereiten, damit Du morgen früh gleich daran gehen kannst.

„Ich?“ Hans sah seinen Begleiter an, „Du meinst doch wir?“

„Bewahre, das sollte mir einfallen,“ war des andern schnelle Entgegnung, „ich will meinen Hals nicht um einen alten Baum riskieren.“

Und ohne dem andern Zeit zu einer Entgegnung zu lassen, fuhr er, auf ein anderes Thema überspringend, rasch fort:

„Übrigens, weisst Du vielleicht, wie es dem alten Westmann geht?“

„Sehr schlecht, hörte ich,“ gab Hans zur Antwort.

„Na's wird auch bald Zeit, dass er andern Leuten Platz macht.“

„Mir wird dieser gute, alte Mann einst sehr fehlen.“

Mit diesen aufrichtigen Worten trennte sich Hans von seinem Begleiter, d. etwas zwischen d. Zähnend murmelnd, das wenig Ähnlichkeit mit einer Schmeichelei hatte, in grosser Befriedigung davonging.

Am anderen Morgen zitterte heiteres Sonnengold über den Bäumen und Sträuchern, und der reine, warme Hauch des Sommerwindes trug d. flatternden, würzigen Blummenduft von einem Ende des Parkes zum andern.

(Fortsetzung folgt).

HUMOR

NICHTS UMKOMMEN LASSEN!

„Weiss dein Bräutigam, dass du schon mal verlobt warst?“ — „Naturlich, wir haben ja sogar den Rest der alten Verlobungskarten aufgebraucht, indem wir den Namen meines früheren Bräutigams einfach durchstrichen und den seinigen darüber schrieben“.

DIE GEWISSENHAFTE HAUSFRAU.

Dame: „Womit soll ich denn meine Goldfische füttern?“ — Händler: „Mit Ameiseneirn.“
— Dame: „Weich oder hart gekocht?“

SCHMERZLICH.

A.: „Als ich mit Fräulein Schmidt allein war, machte ich ihr einen Antrag. Ich sagte ihr, sie sei das Licht meines Lebens.“ — B.: „Und sie...?“ — A.: „Ging aus.“

IMMER DERSELBE.

Professorsgattin (ihren heimkehrenden Gatten erblickend): „Mein Gott, wie siehst du denn aus? Du bist ja pudelnass...!“ — Professor: „Ja denke dir: da nehme ich ein Wannenbad und vergesse mich auszuziehen.“

DAS SCHLIMMSTE.

„Bereiten Sie Ihren Mann schonend vor!“ — „O Gott wird er sterben, Herr Doktor?“ — „Unsinn, is Bier muss ich ihm verbieten.“

BEDAUERLICH.

Richter: „Also der Angeklagte hat Sie stürmisch geküsst und Sie nicht eher freigegeben, bis Ihr Herr Vaterhinzukam?“ — Backtifch: „Ja, leider wurden wir durch ihn gestört.“

DER GUTE VATER.

Gesängnisdirektor: „Nun gehen Sie nach Hause zu Ihrer Familie und bemühen Sie sich, ein braver Mensch und guter Vater zu sein!“ — Entlassener: „Jawohl, Herr Direktor, ick jeh direktemang heem... unterwegs will ick mal sehen, ob ick watt greisen kann damit die Kinder eine Freide ham.“

NICHT NÖTIG.

„Haben Sie dem Goldfische heute morgen frisches Wasser gegeben, Lina?“ — „Aber er hat doch das alte noch nicht ausgetrunken, gnä' Frau!“

DER GEFÜRCHTETE KUSS.

„Geh' zu Tante Jettchen, Fritz, und gratuliere ihr sie hat heut Geburtstag.“ — „Ach nein, Papa... das sticht immer so.“

DIE VERGESLSICHE IN DER STRASSENBAHN.

„Gehört Ihnen das Kind, das da in der Ecke sitzt und schreit?“ — „Jawohl! Lassen Sie's nur schreien; dann vergesse ich's wenigstens nicht, wenn ich aussteige.“

FRECH.

„Machen Sie sofort, dass Sie wegkommen, oder ich rufe meinen Mann.“ — Ihr Mann ist ja gar nicht zu Hause.“ — „Woher wissen Sie den das?“ — „Wenn ein Mann mit einer Frau verheiratet ist, die so aussieht wie Sie, dann ist er bloss zu den Mahlzeiten zu Hause.“

ENTGEGENKOMMEND.

„Verzeihung, die Ohrseige, zu der ich mich hinreissen liess, weil Sie mir auf den Fuss traten, ist etwas stark ausgefallen — dafür dürfen Sie mir auch noch auf den anderen Fuss treten.“

EIN VERDÄCHTIGER ZEUGE.

Richter: „Zeuge, Sie können sich also sicher erinnern, in der kritischen Nacht den Angeklagten in der Wirtschaft gesehen zu haben?“ — Zeuge: „O ja, sogar doppelt und dreifach.“

ERKENNTNIS.

Eheliche Szene: „Oh,“ ruft die junge Frau, „ich wollte, ich hätte Mutters Rat befolgt und Dich niemals geheiratet!“ — Der Ehemann dreht sich rasch herum: „Hat Deine Mutter wirklich versucht, Dich davon abzuhalten, mich zu heiraten?“ — Sie bestätigt durch lebhaftes Kopficken. — „Grosser Gott,“ meint er da, „für so vernünftig habe ich bisher meine Schwiegermutter nie gehalten.“

UNNÖTIG.

Richter: „Ihr Mann kommt jetzt unter Polizeiaufsicht!“ — Ehegattin: „Wozu? Meine Aussicht genüngt.“

ERSATZ.

(Aus dem Bewerbungsschreiben einer Verkäuferin): „In Ermangelung einer Photographie füge ich vier Heiratsanträge bei.“

SEHR NÖTIG.

„Nun, Moritz, wie gefällt dir's in der Schule?“ — „O sehr gut, Papa.“ — „Fehlt dir noch etwas zum Unterricht.“ — „Na,'n Paar Gummiohren möcht! ich haben.“

GUT HERAUSGEREDET.

Zwei Herren (zum Wandertheater-Direktor nach Schluss der Vorstellung): „Sie sind uns aber der Richtige! Sie versprachen uns einen genussreichen Abend- Von Genuss war hier doch keine Rede!“ — „Was wollen Sie denn nur, meine Herren? Für Sie ist jedenfalls der Abend doch noch lange nicht zu Ende.

VATER SEIN...

„Du glaubst nicht, was die Kinder alles brauchen Jede Woche was Neues. Na, Du kannst das nicht begreifen, Du hast ja keine Kinder.“ — „Ich kann schon ich hab' doch ein Auto.“

VÖLLIG BERUHIGT.

„Herr Direktor, Ihre Frau ist mit Ihrem Chauffeur in Ihrem Auto durchgebrannt!“ — „Macht nichts, das Auto ist gegen Diebstahl versichert!“

BETRACHTUNG.

„Est stimmt: Alkoholgenuss ist gefährlich! Neulich habe ich im Trane in meiner Steuererklärung lauter richtige Angaben gemacht!“

PECH.

„Gemeinheit! Mopse ich neulich meinem alten Herrn mit vieler Mühe zehn Stück Zigarren, und als ich die erste rauche, merke ich erst dass sie bloss mittelkräftig sind!“





Verlag Otto Beyer
Leipzig.



Inseriere

jeder im:



denn unsere Zeitschrift wird von Kaufleuten, Hausbesitzern, Industriellen, Beamten und Arbeitern gelesen.

INSERATEN-TARIF:

Teitelseiten	100	zł.
Rückseite	100	„
Einlageseiten	130	„
1/1 Seite	100	„
1/2 Seite	50	„
1/4 Seite	25	„
1/8 Seite	13	„
1/16 Seite	7	„
1/32 Seite	4	„
Abonnem. monatlich	4	„

Bei mehrmaligen Bestellungen ntsprechender Rabatt. Gebühren für Inserate dürfen **nicht** an unsere Aquisiteure im Voraus, sondern nur an unsere eigens dafür bestimmten **Inkassobeamten entrichtet** werden.

Verantworte, für den deutschen Teil JERZY MALCHAREK – Król.-Huta.